

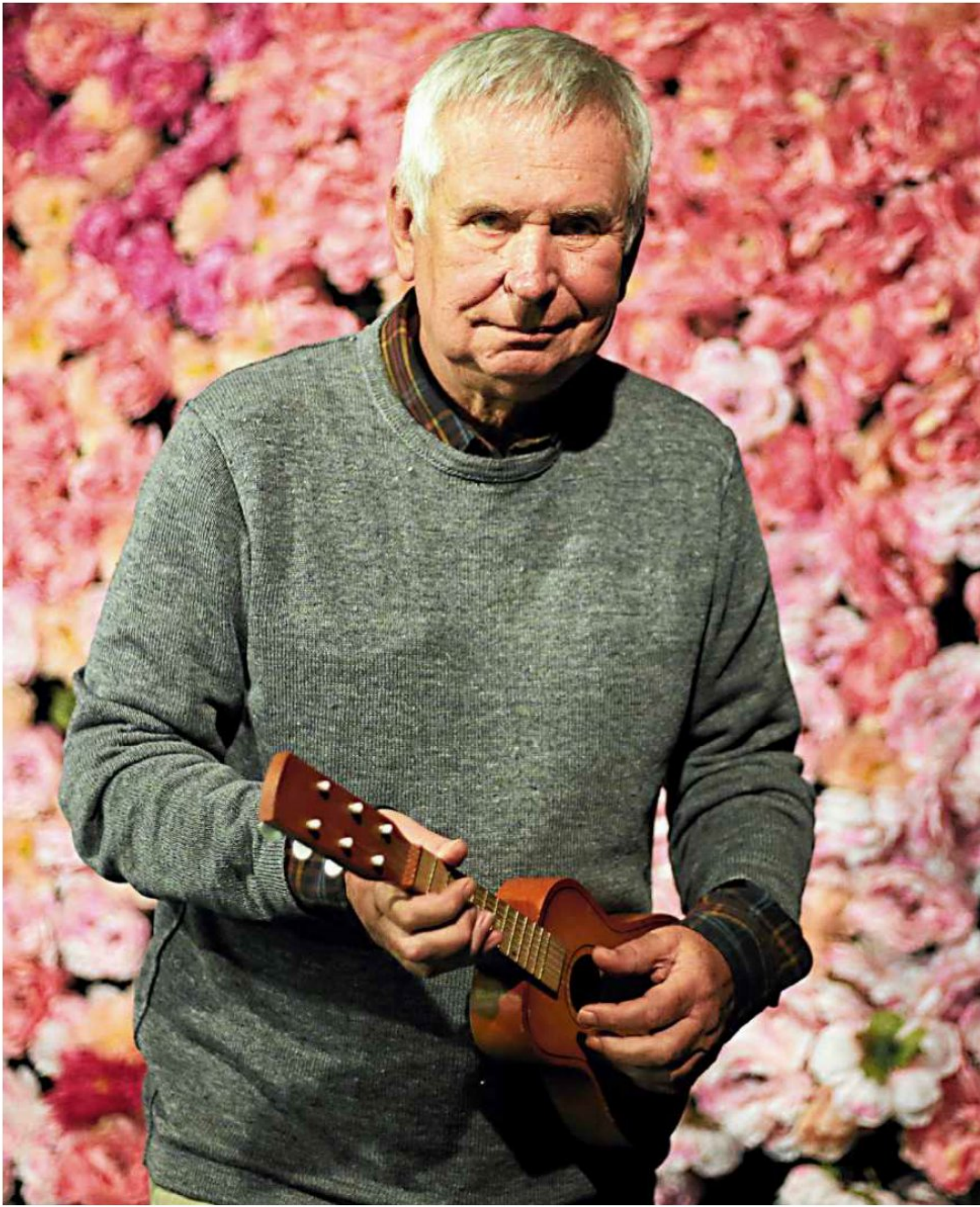
ZAWIADOWCA TŁUMU

Poprosiłem Go, żeby mnie, nikogo, wziął na barana,
i tak stałem się kimś

Janusz Rudnicki

Lróbcie kiedyś eksperyment. Wejdźcie do męskiej toalety i kiedy stać będzie przy pisuarach kilku mężczyzn – im więcej, tym lepiej – krzyknijcie: dzień dobry! Odwróć się, każdy. Jedni tylko głowę, inni zrobią półobrót. To jest tak zaskakujące, jakby w samolocie w czasie lotu wstać nagle i krzyknąć: bilety do kontroli! Tak, tak, oni wtedy też tak się poczują, jakby wszedł jakiś kontroler lub jakby stało się coś, w pierwszej sekundzie wpadną w popłoch i odwróć się, każdy, jedni tylko głowę, inni półobrót. Tak Go właśnie przed laty poznałem. W Gdyni, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Wszedłem do toalety, w niej pod ścianą kolejno: Materna, Kutz (na palcach), Zborowski, Chyra i Maciej Stuhr. Wszedłem i rzuciłem: cześć, Materna! On robi półobrót, kropiąc Kutza, ten w odruchu odwraca się i kropi Zborowskiego, ten Chyrę, ten Stuhra, a Stuhr mnie, ponieważ w międzyczasie stanąłem już byłem obok niego. Stając się ostatnim ogniwem w tym systemie naczyń instynktownie połączonych. Same żarówki i ja, festiwalowa ćma. Poprawił mnie, w obronie spoliczkowanej godności własnej powiedział: pan Materna. A potem była zaraz gala wręczenia nagród, finał, przejście z hotelu do Teatru Muzycznego, po czerwonym dywanie, przez ulicę. Tłum, reflektory, flesze. I było tak: przy wyjściu z hotelu jeden z umyślnych podawał fotografom pod teatrem przez krótkofalówkę informacje, kto właśnie wychodzi, żeby nie przegapili. Słyszałem, jak mówi, ściszone głosem, przejęty: nikt, nikt, uwaga, teraz, nikt, nikt, teraz Kutz, nikt, Zborowski, uwaga, Agata Buzek, nikt, nikt, Materna, nikt... Tym ostatnim nikim byłem ja. Poprosiłem Go, żeby mnie wziął na barana, wziął i tak stałem się kimś.

Opowiadał mi, jak zarobił pierwszy milion. Za młodu w Jego rodzinnym Sosnowcu zbierał po śmietnikach zużyte waciki do uszu i sprzedawał je dzieciom jako watę cukrową. Nikt się nie dziwił, że czarną, waciki też były czarne, na Śląsku wszystko czarne, tylko węgiel jest biały. Byliśmy kiedyś razem w Kazimierzu, na festiwalu Dwa Brzegi, ulokowano nas razem, jak Paweł i Gaweł w jednym staliśnym domu. Stosunki nasze uległy wtedy ochłodzeniu. Nie wiem, jak było z Wojciechem Mannem, może nie mógł wyjść z jego cienia, no bo „Wojtek daje cię dość duży”, w naszym przypadku zawiniły kotlety schabowe. No bo tak, mięso ze sobą z Warszawy wziąłem, inaczej zepsułoby się, żal. Myślałem, że wyzwie mnie od idiotów, ale On się ucieszył: zrobię schabowe, zaskoczę cię, powiedział. I tak na drugi dzień budzi mnie jakiś łomot, ktoś czymś miarowo w coś uderza, o świcie, koszmara. I zaczyna mi świtać: to On, człowiek, który zamiast z motyką na słońce to z tłuczkiem porywa się na mięso. Ale dlaczego już teraz? Głowę pod poduszkę chowam, nic to nie daje, łomot bez końca, wstaję więc półprzytomny i idę do kuchni. I tu mnie rzeczywiście zaskoczył, bo Go w tej kuchni nie ma.



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na Błoniach jest kamień,
że papież zjadł tu
kremówkę,
a obok, że Materna zabe

A ten łomot dalej, ale z zewnątrz, do drzwi wejściowych. Ja wróciłem z bankietu wcześniej, miałem zostawić drzwi otwarte, bo jeden tylko klucz mieliśmy, i nie zostawiłem. Mieszane ma do mnie od tego czasu uczucia.

Wprozie naszej o zawrotny humor tak trudno jak o trufle w lesie. Tak jak tresowane psy wyczulone są na trufle, tak On na odległość ten humor wyczuje.

Jeśli zapadnie mu jakaś proza w gust, a nikomu prawie nieznany jej autor (Jakub Morawski) mieszka w takim na przykład Hongkongu, wsiądzie w samolot i do niego polecą. Posiedzi z nim nad tekstem dni dziesięć, wróci i zrobi z niego adaptację. Potem wybierze aktorów, którzy opadają karkołomnie trudny do opanowania tekst, i to tak, żeby to język nimi grał, a nie

oni językiem, bo język tu w roli głównej. A potem dojdzie do premiery sztuki „Słownik Ptasek Polskich”. Dwa razy, najpierw w warszawskiej Imce (w roku 2016), a na początku tego roku w krakowskiej Bagateli. Bo tam ma teraz nowe swoje gniazdo ten człowiek, który żyje na wynos, a nie na miejscu.

Czytam raz jeszcze po paru latach Jego „Przed państwem Krzysztof Materna” (Znak 2013). Są miejsca, w których iza mi się w oku, wiadomo, kręci. Przy wspomnieniu o FAM-ie na przykład. Z Kędzierzyna do Świnoujścia autostopem tak długo, że dojechałem o trzy dni starszy. Żyłem o suchych bulkach i mokrych beltach, spałem pod dziurawym namiotem, ale szczególnie byłem jak psi ogon, bo ten festiwal, poezja i muzyka płynący, był dla mnie jak obrzęd inicjacyjny, sam się po nim miano wałem artystą. Do amfiteatru nie chcieli

mnie wpuścić na finał, za młody jeszcze byłem na studenta, przeskoczyłem więc przez płot. Tak, też mam swój płot, jak Wałęsa. I tak jak ten jego ważny jest dla Polski, tak ten mój ważny jest dla mnie. Ja skakałem przez płot, a On był już wtedy „artystą zawodowym”, ba, dyrektorem artystycznym FAM-y, która na całej tamtej pelerowskiej ziemi jałowej była dla mnie ziemią obiecaną.

Jak być zawiadowcą tłumy, jak oswajać publiczność, tego nauczył się przy prowadzeniu koncertów Niemena. Wtedy pojął, co znaczy potęgą mikrofonu, który jak berło króla, przy czym sakramentalne dziś: „kto go ma, ten ma władzę”. Dyrygent nastroju. Kurtuazja, wdzięk, ten uśmiech, raz szeroki, serdeczny, raz stonowany, ironiczny, szelmowski. Ta Jego vis comica. Byłem świadkiem, kiedy jakiś czas temu leżał w szpitalu, a ja leżałem przy nim jako Jego kropiółka, byłem świadkiem więc, jak wszedł lekarz i powiedział: panie Krzysztofie nasz jedyny, znowu ktoś zapadł. Krzysztof westchnął, wstał, włożył szlafrok i za pięć minut wrócił. Zdolność wybudzania ze śpiączki za pomocą zdolności pobudzania do śmiechu.

Mówienie, nigdy za szybko, puenta z precyzyjnym timingiem, a jeśli publiczność niewyrobiona, to ją wcześniej czy później wyrobi, cierpliwy jest. Poza sceną i bez mikrofonu niekoniecznie, ludzie bez właściwości mało Go interesują, zbywa ich.

WPRL-u życie w trasie. Trasa znać było wtedy praca. W każdym miesiącu ze dwadzieścia dni. Autobusem do miasta wojewódzkiego, tam hotel i codziennie wyjazdy do miasteczek. Rajem było Katowickie, bo wiadomo, Gliwice, Chorzów i tak dalej. Koncerty dwa razy dziennie, czyli w sumie czterdzieści. Biletów nie było, bo była rada zakładowa, wykupywała je i ten miał bilet, kto go od tej władzy dostał. Trasa z Krawczykiem, raz „wezвано” ich nagle na koncert o godzinie szóstej rano, wyjazd o czwartej, okazało się, że będą „prezenterem dla górników z okazji Barbórki”. Wprowadzono ich na salę prosto ze zmiany, więc zapowiadał Krawczyka do czarnej, umorusanej ściany i jeśli ktoś się tam uśmiechnął, to widział przynajmniej zęby. I teraz tak, Krawczyk wyszedł na scenę cały na białło, w białym mianowicie smokingu, i zaczął koncert do ledwo trzymających się na nogach górników piosenką „Jak minął dzień”. Byłaby to jedna z najlepszych scen filmu „Wodzirej”, gdyby w nim była.

A od sceny, w której opisuje pierwsze spotkanie z Jandą, czyli „jedną z niewielu osób, której inteligencja nie przeszkadza w wykonywaniu zawodu aktorskiego”, mógłby zacząć się „Kiedy Harry poznał Sally”. Przemoknięty i zmarznięty stoi rano pod hotelem we Lwowie i czeka na kogoś. Widok na lwowski pejzaż zasłania Mu autokar. Wszystkie okna ma zamglone. Na jednym zaczyna tworzyć się małe kółko, ktoś w środku chucha. I teraz On widzi najpierw usta, a potem twarz, i dziwny jakiś kapelusik na głowie, zastanawia się: skąd ja znam tę piękną osobę? Spotykają się wzrokiem i wie: to Janda, która już w pełnej charakterystyce czeka na zdjęcia do serialu o Modrzejewskiej.

Organizuje wielki show Copperfielda w Warszawie, w książce wspomina, że jedną ze znanych dwunastu osób, które zniknęły wtedy w finałowym, koronnym triku magika, był Andrzej Mleczek. I że do dzisiaj nikt w Polsce nie wie, jak David ten słynny jego numer organizuje, bo nikt nie zdradził tajemnicy, więc dzwonię do Mlecza i pytam, czy dalej obowiązuje ta przysięga, ale on na to pytanie nie reaguje: „Materna napisał, że ja byłem na scenie i zniknąłem?! Coś mu się... Rzucali ze sceny jakieś piłeczki, kto złapie, ten zaproszony, złapałem i natychmiast dałem Monice, ona weszła, nie ja, i zniknęła. Nie tylko ze sceny, z naszego życia też, uciekła z Davidem do Stanów. Wróciła po miesiącu, skruszona, ale nasze małżeństwo to już, wiesz, czar jakby nieco zniknął, prysł. Żyliśmy jak dwie choroby współistniejące, ale potem czas tę ranę załatwił po swojemu, zagoił”.

On jest z tych, którzy wierzą. W telewizję z misją i edukacją. On uważa, że przeciętny telewidz nie jest głupi, chce tylko, żeby „wskazać mu drogę”, dlatego serwować mu się powinno coś, „co go rozwija, a nie tłamsi”. On jest jak piec „Maternowski”, wierzy, że można wytopić stal z surówki i złomu. Ja bym tu raczej przyjął pozycję sceptyka, chociaż wiem, wiem, łatwiej być Sancho Pansą niż Don Kichotem. Który wierzy, chce wierzyć, że rehot niosący się na cały kraj podczas nocy kabaretowych to skutek wieloletniego ogłupiania kulturą jarmarczną publiczności, a nie jej samej. Jego boli, On czuje się podwójnie spoliczkowany, poziomem humoru na scenie i entuzjastycznym jego przyjęciem przez widownię. Która myśli, że jako mądra śmieje się z tych głupich, bo przecież o „głupich Polakach” przeważnie ze sceny mowa. Która więc, nie wiedząc o tym zupełnie, śmieje się z siebie samej.

W Jego CV w rubryce „zawód” stoi: wypełniacz niszy. O niszy pisze w książce parę razy. Pisze dobitnie, że robi coś, co jest „w poczuciu humoru niszą”. Że Jego propozycje teatralne, eksperymenty „funkcjonują w niszy”. Że wypełnia niszę i dlatego nie należy do żadnego lobby i nikomu nie zagraża. Jeśli znajdziecie się przypadkiem w kościele, a będą w nim nisze, zajrzyjcie do każdej, w jednej z nich będzie na pewno On. Bo nisze to też wnęki, w których stoją niszowe figury kultowe.

Zajęcia wojskowe podczas studiów. On jako zakąła grupy, same dwóje, nie nadawał się do żadnego szeregu. Nie wytrzymał któregoś dnia tego gnębienia przez dowódcę, załamany, ze łzami w oczach, powiedział, że też chce, musi dostać piątkę, za cokolwiek, na przykład za silną wolę, może na przykład zjeść żabę na poczekaniu, bo pełno tu ich wokół. Dowódca na to przystał, On wykonał, po czym natychmiast zwymiotował, po czym po nim bezwzględnie zwymiotował cały prawie pluton. Na krakowskich Błoniach, zaraz obok kamienia papieskiego, na którym wyryte jest, że papież polski w tym a tym dniu i roku zjadł tu kremówkę, leży kamień, na którym wyryte jest, że w tym samym dniu i roku nikomu wtedy jeszcze nieznany obywatel Krzysztof Materna zjadł tutaj żabę.

Jeszcze niejedną przyjdzie Ci zjeść żabę, mój drogi, zanim dociągniesz do setki. I to pogodnie, bo przecież, to tytuł jednego z Twoich spektakli, „Czas nas uczy pogody”. Z wyjątkiem tego, który właśnie był minął, bo pociągnęliśmy PiS za spłuczkę.

Po przeczytaniu tego wszystkiego zostawiam Cię w takim stanie, w jakim chciałbym Cię zastać. ●